

## Kobiety i Schulz



Anna Kaszuba-Dębska

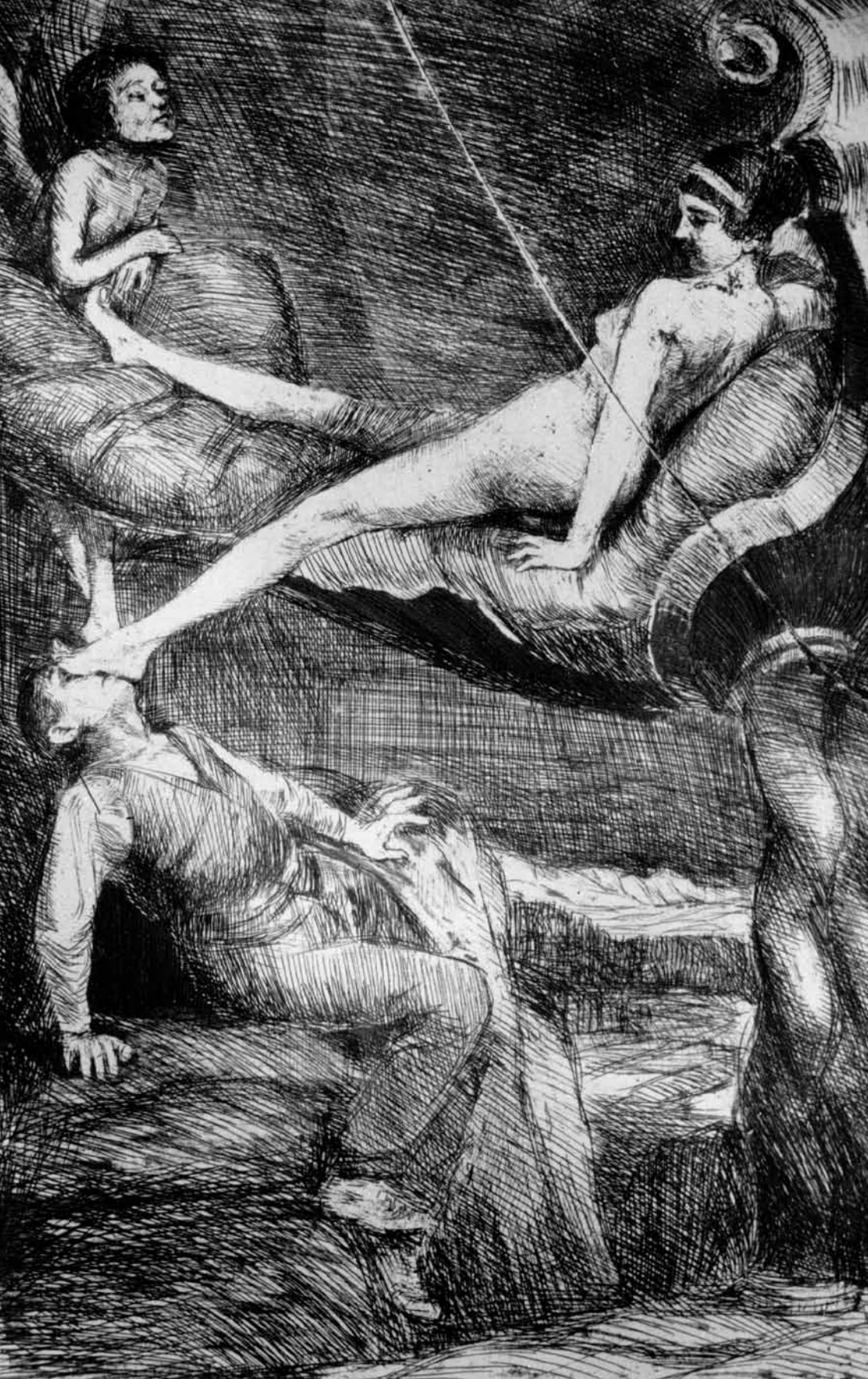
# Kobiety i Schulz

słowo/obraz terytoria



Nie ma już nigdzie tych książek, które czytaliśmy w dzieciństwie, roz-  
wiał się – zostały nagie szkielety. Kto miałby jeszcze w sobie pamięć  
i miąższ dzieciństwa – powinien by je napisać na nowo, tak jak były  
wtedy.

Z listu Brunona Schulza do Romany Halpern z 1936 roku



## [1942]

19 listopada 1942 roku Bruno Schulz, wybitny polski pisarz, artysta i nauczyciel, zostaje zamordowany na ulicy dwukrotnym strzałem w głowę. Zabójcą jest hitlerowiec Karl Günther.

Zeznania świadków w tej sprawie są sprzeczne, ale wśród oprawców wymienia się hitlerowców Josefa Gabriela i Fritza Dengga. Jako jedną z poszlak podaje się, że bestialskie zamordowanie Brunona Schulza było prywatnym odwetem, zemstą Karla Günthera za zabicie jego Żyda przez esesmana Feliksa Landaua, protektora Schulza.

Bruno Schulz umiera na chodniku, pomiędzy godziną 11.00 a 12.00 w południe, na skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Czackiego.

Przypuszcza się, że zostaje pochowany we wspólnej mogile na cmentarzu, której jednak nigdy nie udaje się odnaleźć. Cudem ocalały drohobycki cmentarz żydowski po wojnie zostaje całkowicie zlikwidowany przez nowe władze sowieckie.

Do grzebania zwłok przyznaje się kilka osób, a każda podaje inną lokalizację i inne okoliczności zdarzenia.

Zgodnie z relacją Izydora Friedmana – przyjaciela Brunona Schulza – to właśnie on dokonuje pochówku ciała na drohobyckim cmentarzu.

Z kolei doktor Leopold Lustig, we wspomnieniach opublikowanych w książce Henryka Grynberga *Drohobycz, Drohobycz*, twierdzi, że widział ciało Brunona Schulza z dziurą w głowie i otwartymi ustami pełnymi krwi.

Inna legenda głosi, że Bruno Schulz zginął, karmiąc chlebem nadlatujące gołębie, świadomy nieuchronności tego, co miało nastąpić, i bez możliwości ucieczki.

W wyniku akcji miejscowego gestapo 19 listopada 1942 roku, w dniu zwanym „dzikim czwartkiem”, ponosi śmierć ponad dwieście osób. Strzelanina rozpoczyna się w getcie około godziny 11.00. Gestapowcy strzelają do przypadkowych przechodniów i osób próbujących się ukryć

w klatkach schodowych, mieszkaniach i podwórkach. Bruno Schulz idzie wówczas do Judenratu po swój przydział chleba. Prawdopodobnie tego dnia, zaopatrzony w aryjskie papiery, zdobyte z pomocą warszawskich przyjaciół, w tym Zofii Nałkowskiej, a dostarczone przez emisariuszy ze stolicy, chce uciekać.

Sytuacja w drohobyckim getcie staje się coraz trudniejsza. Bruno Schulz podejmuje próby ochrony swego dorobku artystycznego. Zabezpiecza rękopisy, listy, grafiki i rysunki, dzieląc je na kilka pakietów, i przekazuje zaufanym osobom spoza getta. Jednym z obdarowanych teką około stu dwudziestu rysunków jest jego ulubiony uczeń i pomocnik, pracujący z Schulzem przy malowidłach ściennych – Emil Górski.

Zdrowie fizyczne i psychiczne Brunona Schulza jest na wyczerpaniu. Choruje on przewlekłe, leczy się w żydowskim szpitalu przy ulicy Leona Reicha, jest wycieńczony i głodny. Pogłębiają się jego stany depresyjne.

Nadal utrzymuje kontakty listowne z przyjaciółmi. W odpowiedzi na dramatyczne listy, wysłane do warszawskich znajomych z prośbą o pomoc, otrzymuje fałszywe „aryjskie papiery”. Przygotowuje się jego ucieczkę z getta w Drohobyczu.

Dzięki poparciu Judenratu Bruno Schulz pracuje przez kilka miesięcy w byłym Żydowskim Domu Starców. Wraz z przyjacielem, adwokatem Izydorem Friedmanem kataloguje ponad sto tysięcy książek, zrabowanych przez władze sowieckie, a następnie przejętych przez niemiecką administrację. Praca ta daje mu poczucie bezpieczeństwa i chroni go przed ciężkimi robotami fizycznymi, którym nie może poddać.

Bruno Schulz pracuje dla gestapowca Feliksa Landaua, stolarza z Wiednia, młodszego od niego o osiemnaście lat. Landau w 1941 roku zostaje przeniesiony z Lwowa do Drohobycza. Mieszka w dawnym komisariacie policji przy ulicy Świętego Jana 12. Jest odpowiedzialny za zatrudnienie Żydów, a w rzeczywistości staje się współorganizatorem i wykonawcą morderczych akcji. Z okien swojego mieszkania celnie strzela do pracujących na zewnątrz ludzi. Nawiązanie kontaktu z żydowskim artystą dodaje mu splendoru.



Bruno Schulz opiekuje się chorą siostrą Hanią Hoffmanową i jej synami, musi pracować dla swego oprawcy. Landauowi zaś nie przeszkadza nazistowska teoria, traktująca żydowską sztukę jako zdegenerowaną. Zleca Schulzowi prace plastyczne, opłacając je chlebem, marmoladą, a czasem miską zupy. W zamian opaska naramienna Schulza zostaje opatrzona napisem *glejt*, a on sam staje się „potrzebnym Żydem”. To daje gwarancję przeżycia kolejnych dni. Na zamówienie Landaua, którego fascynują konie, Bruno Schulz maluje w pokoju jego syna baśń o królowie i siedmiu krasnoludkach. Tu na ścianie dziecięcego pokoju pozostawia ostatni autoportret – staje się woźnicą baśniowej dorożki prowadzonej przez fantastyczne konie.

W 1942 roku ginie zamordowana przez hitlerowców rodzina fotografa Bertolda Schenkelbacha, zaprzyjaźnionego z Brunonem Schulzem. Ocalałe ich syn, trzynastoletni wówczas Erwin.

W sierpniu podczas wielkiej hitlerowskiej akcji we Lwowie zostaje zamordowana pisarka, poetka i filozofka Debora Vogel wraz z czteroletnim synkiem, matką i mężem. Zwłoki identyfikuje przyjaciel Debory, autor ilustracji do jej powieści *Akacje kwitną*, malarz Henryk Streng, który ocalał jako Marek Włodarski.

Zostaje zamordowana Laura Würzberg, młoda przyjaciółka Schulza, bibliotekarka i dobrze zapowiadająca się pisarka.





litabym to z radością

Anna Ptoczek

NYCH W KRAKOWIE



# Anna Płockier

Pierwsza przewrotna myśl, jaka przychodzi mi do głowy na hasło „Kobiety Schulza”, to nie jego przyjaciółka Debora Vogel i nie literacka protektorka Zofia Nałkowska, ale ostatnia znana adresatka jego listów. Obie wspomniane panie zapisały się w historii literatury, pierwsza jako poetka, druga jako pisarka. Ich twórczość, choć w niektórych kręgach mniej znana, jednak się zachowała, przetrwała zawieruchę dziejową. Wiadomo mniej więcej, w jakim kontekście literackim i w jakim czasie historycznym można je umiejscowić. Powstało wiele opracowań dorobku jednej z najwybitniejszych polskich pisarek i chyba jednej z pierwszych głośno upominających się o prawa kobiet feministek, Zofii Nałkowskiej. Każdy średnio wykształcony Polak na hasło Nałkowska odpowie – pisarka. Z nazwiskiem Vogel może być już nieco gorzej, ale znajdują się i tacy, którzy skojarzą ją z autorem *Sklepów cynamonowych* – Brunonem Schulzem. W każdym niemal wstępie do tej książki wspomina się bowiem Vogel jako adresatkę epistolarnej korespondencji, z której wyłonić się miało literackie objawienie autorstwa skromnego nauczyciela rysunków z Drohobycza. Debora Vogel okazuje się jednak kimś o wiele bardziej interesującym niż tylko listowną mużką. Znana jest głównie z literatury tworzonej w języku jidysz, ale i na rodzimym, polskim gruncie warto zwrócić uwagę na jej szkice, eseje krytyczne i filozoficzne, dotyczące współczesnych jej nurtów awangardowych w polskiej sztuce okresu międzywojennego. Na szczęście w ostatnim czasie postać ta wychodzi z cienia i cieszy się coraz większym zainteresowaniem literaturoznawców. Pojawiają się nowe opracowania jej twórczości, tłumaczenia prozy i poezji tworzonej w jidysz, a także tekstów krytycznych czy esejów. Nazwiska Nałkowskiej i Vogel istnieją w szerszej świadomości. Z łatwością można je znaleźć w słownikach i wyklikać w sieci.

A Anna Płockier?

Takiego hasła nie ma nawet w Wikipedii. Jeśli gdziekolwiek się pojawia, to jedynie w kontekście ostatnich lat życia Brunona Schulza jako jego ostatnia kobieca muza.

Niewiele osób, nawet tych zawodowo zajmujących się literaturą, jest w stanie cokolwiek o niej powiedzieć. I słusznie. Umarła młodo, nie pozostawiając po sobie zupełnie nic.

To puste „nic” napelniało mnie lękiem, ale jednocześnie stało się motorem poszukiwań biografii Anny Płockier. Poszukiwania biegły niekiedy dziwnymi ścieżkami rozumowania i własnych intuicji. Oswajałam „nic”, wgrzyzając się w życiorysy innych, odczytując ślady, z których pozwoli i niewyraźnie powstawała – wydobyta z niepamięci – prawdziwa, żywa osoba.

Pamięć o Annie Płockier przetrwała dzięki dosłownie kilku listom, napisanych do niej przez wybitnego, cenionego dziś na całym świecie pisarza Brunona Schulza. Gdyby nie to, nikt nie zadałby sobie trudu pamiętania o niej. Gdyby zaś listy te, jak zresztą wiele innych listów, rękopisów i rysunków, przypadły, nie byłoby powodu do wypowiedzania nazwiska Anny Płockier. I kto inny przejąłby rolę ostatniej miłości i muzy pisarza z Drohobycza. O tyłu przecież osobach z kręgu Schulza nic nie wiemy, nie został po nich nawet ślad.

Jak można przeczytać w licznych publikacjach internetowych poświęconych Schulzowi, Anna Płockier była „ostatnim jego natchnieniem, miłością, erotycznym westchnieniem, powierniczką myśli i pragnień, zamordowaną wraz z przyjacielem Markiem Zwillichem, przez ukraińską milicję w 1941 roku”. Te zdawkowe informacje znajdują się w niemal każdym Schulzowskim kalendarium i z lubością są nieustannie kopiowane i przklejane, choć właściwie niczego nie wyjaśniają, podając jedynie prawdziwą datę śmierci i wskazując na przyjaźń z bliżej nie rozpoznany Markiem Z.

Tak, to prawda. Anna Płockier umarła jesienią 1941 roku w wieku dwudziestu sześciu lat. Zamordowana w lesie, wrzucona do ciemnego dołu, przysypana ziemią, wraz z setkami innych polskich Żydów.

Scena jak z filmu, jak z wiadomości telewizyjnych, donoszących o kolejnych masowych mordach gdzieś daleko na jakiejś wojnie. Widzę to, uodporniona przez wieczorne wiadomości, na ekranie swojego telewizora. Masowe śmierci w mass mediach nie robią na nikim większego wrażenia. Dopiero konkretne życie, konkretna historia i konkretna śmierć sprawiają, że zaczynamy buntować się przeciwko złu.

Konkretna śmierć spotyka Annę Płockier. Najpierw widzę, jak konkretnie jedzie ciężarówką, wciśnięta pomiędzy innymi przestraszonymi twarzami mężczyzn, kobiet i dzieci. Potem stoi w lesie i czeka. Świeci jesienne słońce. A może pada deszcz? Niedaleko głęboki konkretny dół. Jeden? Dwa? Może trzy? Czy kopie go własnoręcznie wraz z innymi

aresztowanymi tego dnia współtowarzyszami niedoli? Czy wykopali go dla niej inni? Co przeczuwa? Czy już wszystko jest jasne i nie ma czasu na strach, rozpacz i żal? Czy to odwaga wiedzieć, że to koniec, że nie się już nie da zrobić? Czy umierając, patrzy pożegnalnie w oczy najbliższej sobie osoby? Martwej czy jeszcze żywej?

Zastanawiam się, jak umarła Anna Płockier. Czy zginęła przed plutonem egzekucyjnym? Czy trafił ją strzał z ręcznego pistoletu? Czy ubrana była w jedną ze swoich eleganckich, ekstrawaganckich sukienek, uszytych według jej projektu, na miarę? Czy założyła kapelusz z seldynowo-różową wstążeczką? Czy umarła szybko? Czy może wymyśloną na potrzeby pogromów efektywną metodą pewnego dowódcy SS, Friedricha Jeckelna? Metodą na sardynkę w puszcze. Ciało obok ciała. Żywe, położone w wykopanym przez siebie dole, na innych zakrwawionych, martwych ciałach. Ciało położone samo przez siebie, twarzą w dół, ciasno, jedno obok drugiego. I seria z karabinu. I następne piętro, ciało obok ciała, wyżej i jeszcze wyżej. A tych, co się już nie zmieścili, palono.

Myszę o Annie Płockier. Czy bolało? Czy myślała o mamie? Dlaczego nie doszła do skutku planowana przez nią ucieczka z Borysławia do rodzinnej Warszawy? Dlaczego tak długo zwlekała? I co ją powstrzymywało? Może zabrakło jednego dnia, może jednej godziny, może zaledwie minuty, by zrealizować zorganizowaną ucieczkę.

Niemcy są już przecież wszędzie, i w Warszawie, z której uciekła, i tutaj, gdzie znalazła schronienie. Od wkroczenia w lipcu 1941 roku hitlerowskich wojsk na tereny drohobycko-borysławskiego zagłębia ropy mija kilka miesięcy. Histeria wojenna i strach przed śmiercią opanowują większość mieszkańców pobliskich miast i na pewno nie omijają Borysławia, w którym mieszka Anna. W tym mieście okupowanym najpierw przez Sowieców, teraz przez nazistów, relacje międzyludzkie i sąsiedzkie szybko się zmieniają. Każdy boi się każdego i nikt nie czuje się bezpiecznie. Nastroje wśród Polaków i Żydów polskiego pochodzenia nie są najlepsze. Niemców przyjaźnie wita faszyzująca ludność ukraińska. Sowiecką propagandę rządów radzieckich komunistów z ostatnich dwóch lat zastępuje propaganda nazistowska, skierowana głównie do Ukraińców. Ze słupów ogłoszeniowych zniknęły plakaty przedstawiające Armię Czerwoną bohatersko wyzwalającą chłopów z pańskiego, polskiego jarzma. Nie ma też bohaterskiego żołnierza Armii Czerwonej dobijającego bagnetem Białego Orła z polskiego godła. Za to wszędzie

podziwiać można niemieckie plakaty zachęcające młodych, silnych ukraińskich chłopców do wstąpienia w szeregi Waffen-SS. Nacjonaliści ukraińscy w ataku wojsk niemieckich na ZSRR z 22 czerwca 1941 roku upatrują szansę na stworzenie upragnionej własnej państwowości. Ukraińskie grupy paramilitarne w ślad za wermachtem wkraczają na teren wschodniej Małopolski i Wołynia, tworząc ukraińską administrację, prowadząc wśród ludności agitację antypolską i antysowiecką. W niedalekim Lwowie zostaje ogłoszony Akt Odnowienia Państwa Ukraińskiego deklarujący, że: „Odrodzone Państwo Ukraińskie będzie ściśle współdziałać z Narodowo-Socjalistycznymi Wielkimi Niemcami, które pod kierunkiem Adolfa Hitlera tworzą nowy ład w Europie”.

Polska nie istnieje.

W takim oto tygłu ścierających się ideologii, karmionych wojenną nienawiścią i kłamliwą propagandą, znajduję Annę Płockier. Uciekinierkę z okupowanej i bombardowanej w 1939 roku stolicy, dobrze wychowaną panienkę z dobrego polskiego domu, z bogatej, znanej i szanowanej warszawskiej rodziny lekarskiej, wykształconą Żydówkę, komunizującą awangardową artystkę.

Od lipca 1941 roku jest ona świadkiem kolejnych straszliwych akcji, skierowanych przeciwko borysławskim Żydom. Czy myśli, że jej nie dotyczą? Pierwsze tak zwane „działanie” ukraińskich nacjonalistów, przy aprobachie Niemców, ma miejsce już na początku lata, w lipcu. Ginie wówczas około dwustu Żydów. Represje wobec ludności żydowskiej z dnia na dzień przybierają na sile. Każdy Żyd i Żydówka musi nosić żółtą opaskę z gwiazdą Dawida na lewym przedramieniu. Każdy Żyd pomiędzy szesnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia musi pracować. Wszystkie żydowskie szkoły zostają zamknięte. Żydom nie wolno chodzić po chodnikach. Żydzi mają kłaniać się wszystkim napotkanym umundurowanym Niemcom. Nie mogą prowadzić własnych sklepów i interesów. Żydom nie wolno jeździć samochodem ani dorożką, ani też pociągiem. Nie wolno im mieszkać przy głównych ulicach. Nie wolno leczyć się w aryjskich szpitalach. Nie wolno żyć. Wolno będzie umierać.

W dziennej dacie śmierci Anny Płockier odkryłam pewną nieściskość. Nieoceniony w badaniu życiorysu i spuścizny Brunona Schulza, Jerzy Ficowski w Notach i przypisach do *Księgi listów* napisał: „Anna wraz z narzeczonym i całą jego rodziną została zamordowana przez milicję



ukraińską, działającą z ramienia niemieckich mocodawców. Ów masowy mord nastąpił 27 listopada 1941 roku w lesie pod Truskawcem”. Trudno podważać słowa takiego znawcy biografii pisarza. Jednak podczas moich poszukiwań śladów biografii Anny Płockier natknęłam się przypadkiem na inną relację, zapis w dzienniku naocznego świadka tamtych wydarzeń: „Październik. Niemcy zabrali Anię i Maćka. Wyłapali tych Żydów, którzy, jak twierdzili, wykręcali się od pracy. Pewnie nie żyją już w tej chwili. Podobno złapali też Freidenheimową. Zachowała się bardzo odważnie. Na aucie wygłosiła przeciwko Niemcom płomienną mowę”<sup>1</sup>.

Te dwie przytoczone noty są sprzeczne zarówno pod względem czasu śmierci Anny Płockier (miesiąc albo nawet półtora miesiąca różnicy), jak i narodowości jej oprawców. W pierwszej relacji mordercy to Ukraińcy, w drugiej Niemcy. Zagadkę tę zapewne mógłby rozstrzygnąć nie jeden historyk i to historykom właśnie pozostawiam tę kwestię. Mnie chodzi tu o coś innego. O miesięczną nieścisłość w obu relacjach, która wzbudza zaciekawienie.

Fakt podany przez Jerzego Ficowskiego w 1975 roku został uznany za wystarczający dla biografii pisarza Brunona Schulza. Nikt też nie weryfikował tej daty, gdyż nikt nie zajmował się szczegółowo biografią Anny Płockier, po której, jak wiadomo, nie ocalało prawie nic. Korzystając z dostępu do obszerniejszej niż w latach siedemdziesiątych XX wieku bazy archiwalnej, z coraz liczniejszych publikacji, poruszam się pomiędzy urywkami wspomnień, strzępami pamięci tych, którzy przetrwali, i próbuję odnaleźć w ich historiach jakieś punkty wspólne, klucz do biografii Anny Płockier.

Autorką przytoczonego przeze mnie wspomnienia naocznego świadka tamtych zdarzeń z roku 1941 jest zaprzyjaźniona z Anną Płockier Alina. Ta młoda nauczycielka matematyki po opuszczeniu rodzinnego Lwowa postanawia zaszyć się na prowincji i zamieszkać w Borysławiu w rodziną swojego męża Stanisława Dawidowicza. W trudnych czasach sowieckiej okupacji jest częstym gościem w domu Marka Zwillicha, narzeczonego Anny Płockier. Marek inicjuje i organizuje w swoim domu i ogrodzie liczne spotkania i dyskusje zaprzyjaźnionej grupy osób. Po latach poeta Marian Jachimowicz nazwie to środowisko „borysławskim zagłębieniem kulturalnym”. Alina chętnie uczestniczy w tych spotkaniach, a przy okazji robi osobiste notatki, prowadzi coś na kształt prywatnego dziennika.